Nr. 6. Lwów dnia 7. marca. Rok 1865.

TYGODNIK NAUKOWY.

Wychodzi co Wtorek. Kosztuje z przesełką pocztową: 6 złr. rocznie; 3 złr. półr.; 1 złr 50 cnt. kwart.; 50 cnt. mieś. Listy niefrankowane nie przyjmują się.
Redakcja przy ulicy Niższej Ormiańskiej l. 364

Stan polityczny Księztwa Warszawskiego w r. 1812.

Skreślił Bronisław Zamorski.

II.

Pobyt ks. Józefa w Paryżu i przedstawienia uczynione Napoleonowi, nie były bez skutku. Cesarz zwołał radę ministrów i marszałków; zabiegi Moskwy wyjaśniały się coraz to dokładniej w skutek ostrzeżeń jakie dochodziły do Paryża z Petersburga, z Litwy, z Polski i z Niemiec. Cesarz postanowił rozpocząć jak najrychlej „drugą wojnę Polską“, w skutek czego nastąpiła zmiana rezydenta francuzkiego w Warszawie; miejsce p. Serry miał zająć bar. Bignon, jeden z najgorliwszych przyjaciół Polski. Napoleon na posłuchaniu pożegnalnem powiedział Bignonowi: „Jesteś przednią strażą cesartswa, w postępowaniu zastosujesz się ściśle do noty jaką otrzymasz od Mareta“. Podróż Bignona do Warszawy była dość spieszną, po drodze miał się jeszcze zatrzymać w Dreznie i tam dalsze otrzymać informacje.*) Bignon wyjeżdżał z Paryża 26. lutego 1812. Wtedy wojna z Moskwą była już niezawodną. Napoleon zawarł dwa traktaty zaczepne i odporne, jeden z królem pruskim 14. jeszcze lutego, drugi z cersarzem austrjackim 14. marca. Do przymierza z Austrją zawartego dodane były tajne artykuły, z tych 5ty i 6ty ściągały się do Polski. W pierwszym powiedziano: „Na wypadek, gdyby w toku wojny między Francją a Rosją wypadało przywrócić królestwo Polskie, cesarz Francuzów zabezpieczy Austrji spokojne posiadanie Galicji“; w drugim zaś postanowiono: „Gdyby się miało zgadzać z interesami i z widokami cesarza Austrji, odstąpić pewną część, do królestwa Polskiego wcielić się mającej Galicji za illiryjskie prowincje; na ten wypadek obowiązuje się już teraz cesarz Francuzów, zezwolić na taką zamianę, i że odstąpić się mająca część Galicji oznaczoną będzie na połączonych zasadach ludności, rozległości i dochodów kraju, tak ażeby oszacowanie obydwóch przedmiotów zamiany, nietylko podług rozległości powierzchni, lecz podług rzeczywistej ich wartości nastąpiło“.**)

Tedy Napoleon miał przeciw Moskwie dwóch sprzymierzeńców, a prócz tego toczyła się wojna między Turcją a Moskwą. Car miał za sobą neutralną Skandynawję i z całem sercem mu oddaną Anglję. Traktat przymierza między Szwecją a Moskwą zawarty został 24. marca. Przystąpienie Anglji do tego samego traktatu nastąpiło dnia 3. maja 1811.

*) »Pamiętniki francuzkiego dyplomaty Ludwika barona Bignon Kraków 1862.«
**) Historja dyplomacji francuzkiej od r. 1792 — 1815. Ludwika barona Bignona. Paryż 1829 — 1840. 10 vol.

Z przybyciem nowego rezydenta francuzkiego Bignona do Warszawy, otrzymał rząd księztwa następujące instrukcje z Drezna świadczące o groźnem niebezpieczeństwie ze strony Moskwy: „Tworzyć gwardję narodową. Ściągać oddalone korpusy, a w tył cofnąć zakłady wojskowe. Materjały artyleryjskie użyć na obronę kraju lub je zabezpieczyć. Zakładać magazyny między Wisłą a Odrą. Kompletować pułki rekrutami i końmi. Wysadzić w powietrze niedokończone warownie Zamościa.“ (Ostatnie nie zostało wykonane na przedstawienie Bignona).

Zaledwo zaczęto w księztwie cofać w tył magazyny, kiedy otrzymano tamże również z prowincyj polsko-moskiewskich wiadomości, że podobny ruch odbywa się ze strony Moskali. Jak widzimy z obu stron obawiano się napadu i posełano sobie groźby i obawy. Wielki książę Konstanty, czy też książę Oldenburski miał przybyć na rezydencję do Litwy, którą wciąż łudzono konstytucją. Na przyjęcie i zamieszkanie tego rezydenta wyporządzono zamek w Białymstoku. Na Żmudzi i w Wilnie oczekiwano cara jak zbawienia. Książe Zubów, zbogacony przez Katarzynę dobrami wydartemi uczciwym Polakom na Żmudzi, czynił ogromne przygotowania na przyjęcie cara.

W tym samym czasie Napoleon rozpoczął szybkie uzbrojenia na całym kontynencie Europy. Książe Józef Poniatowski, minister wojny po dwu miesiącach pobytu w Paryżu przybył do Warszawy. Pobyt jego dłuższy w Paryżu był potrzebnym dla dania wyjaśnień o rozlicznych stosunkach kraju, w którym miała wojna się toczyć. Za przybyciem ks. Józefa nowy rezydent francuzki miał częste konferencje z księciem; wypływało to z ducha instrukcji jaką otrzymał rezydent od ministra Mareta ks. Bassano jeszcze pod dniem 26. lutego 1811. Za pomocą tej instrukcji wszystkie dalsze wypadki dadzą się jasno rozpoznać, dlatego ją tu, jako nadzwyczaj ważną w dziejach politycznego bytu księztwa Warszawskiego dosłownie i w całości przytaczamy:

„Cesarz tyle polega na danych przez pana dowodach poświęcenia się jego usługom i zręczności, iż ci powierza misję najwyższej politycznej ważności. Misja ta wymaga czynności, roztropności i zachowania tajemnicy.“

„Udasz się Pan najprzód do Drezna a pozornym celem tej podróży będzie doręczenie królowi saskiemu listu, który Pan jutro od cesarza otrzymasz. J. C. Mość dał mu już poznać swoje zamiary i udziela ustnie ostateczną instrukcję względem tego co masz królowi saskiemu oświadczyć.“

„Życzeniem jest cesarza, aby okazano temu monarsze to uszanowanie, jakie mu się należy, z powodu szczególnego poważania jakiem cesarz dla osoby jego jest przejęty. W wysłowieniu swojem tak z królem, jako i z ministrami jego, użyjesz pan bezwarunkowej otwartości, i dasz wiarę wiadomościom, jakie ci hr. Senft Pilase kudzieli.“*)

„Każde poświęcenie przez Saksonię uczynione, zostanie wynagrodzone.“

„Saksonji mało zależy na posiadaniu księztwa warszawskiego, w tym stanie jak jest dzisiaj, jest to posiadłość wątła i uciążliwa. Posiadanie tego ułamku Polski stawia ją w fałszywem położeniu względem Prus, Austrji i Rossji. Wyłożysz pan tę myśl i rozbierzesz ten przedmiot w duchu dyskusji, jaka się odbyła 17. b. m. w gabinecie J. C. Mości w twojej obecności. Znajdziesz pan gabinet drezdeński mało skłonnym do sprzeciwiania się tym widokom; dyplomacja jego przedstawiła nam kilka razy też same uwagi. Nie idzie więc tu o rozbiór krajów króla saskiego.“

„Po krótkim pobycie w Dreznie, oznajmisz pan swój wyjazd do Warszawy, gdzie masz oczekiwać nowych rozkazów od cesarza.“

„J. C. Mość prosi króla saskiego, aby pana zakredytował u swoich ministrów polskich.“

*) Wszystkie te tajemnicze informacje tyczyły się zawarcia tajemnych traktatów z Prusami toczonych układów z Austrją.

„W Warszawie porozumiewać się pan będziesz z księciem Aleksandrem Sapiehą i z jenerałem ks. Konstantym Czartoryskim.*) Te dwie osoby pochodzą z znajznakomitszych rodzin polskich; przyrzekły one użyć wpływu, jaki mają na ziomków swoich, aby ich nakłonić do pracowania nad szczęściem i niepodległością ich ojczyzny. Masz pan nadać rządowi księztwa popęd, któryby go przysposobił do wielkich zmian, jakie cesarz na korzyść narodu polskiego chce uskutecznić.“

„Trzeba, ażeby Polacy wspierali widoki cesarza i aby się przyczyniali sami do odrodzenia swego. Winni oni poczytywać Francję jedynie za mocarstwo im posiłkujące.“

„Cesarz nie taji przed sobą trudności, jakie przy przywróceniu Polski napotykać będzie. To wielkie dzieło polityki jest sprzeczne z widocznym i rzeczywistym interesem jego sprzymierzeńców.“

„Przywrócenie Polski siłą oręża cesarstwa francuzkiego jest przedsięwzięciem niepewnego powodzenia i nawet niebezpiecznem, w którem Francja nietylko z nieprzyjaciołmi, lecz i sprzymierzeńcami swymi będzie musiała walczyć.**) Wejdziemy w niektóre szczegóły w tej mierze.“

„Zamiar, jaki sobie cesarz zakłada jest organizacja Polski w części lub w całości dawnego jej terytorjum, z unikaniem wojny jeżeli to być może. W tym celu udzielił J. C. Mość bardzo obszerne pełnomocnictwo posłowi w St. Petersburgu i wysłał do Wiednia negocjatora, który upoważniony jest do wchodzenia w układy z głównemi mocarstwami i ofiarowania wielkich odstąpień z posiadłości terytorjalnych cesarstwa francuzkiego, jako wynagrodzenie odstąpień dla przywrócenia królestwa polskiego potrzebnych.“

„Europa dzieli się na trzy wielkie oddziały: cesarstwo francuzkie na zachodzie, kraje niemieckie we środku, a cesarstwo rosyjskie na wschodzie; Anglja taki tylko wpływ mieć może na stałym lądzie, jaki jej inne mocarstwa przyznać zechcą.“

„Przez silną organizację środka Europy zapobiedz trzeba temu, aby Rosja lub Francja, usiłując rozszerzyć granice swoje, nie wzięła przemocy nad Europą. Cesarstwo francuzkie jest teraz w całej sile swego towarzyskiego bytu. Jeżeli w tej chwili nie ukończy układu politycznego Europy, może jutro postradać korzyści swego obecnego położenia i upaść w swoich przedsięwzięciach.“

„Ustanowienie państwa wojskowego w Prusiech, panowanie i policja Fryderyka Wielkiego, wyobrażenia wieku i rewolucji francuzkiej w bieg puszczone, zniweczyły starodawną konfederację niemiecką. Liga reńska opiera się na tymczasowym systemacie. Monarchowie, którzy coś nabyli, życzyliby sobie może ustalenia tego systematu; ale ci którzy stracili, ludy, które doznały klęsk wojennych i państwa, które się obawiają zbytecznej potęgi Francji, sprzeciwiać się będą utrzymaniu ligi reńskiej w każdym razie, gdy do tego sposobność znajdą. Ci nawet monarchowie, którzy się wzmogli za pośrednictwem tego systematu, dążyć będą do oswobodzenia się od zobowiązań, jakie na nich wkłada, w miarę jak czas ustali ich władzę w krajach nowo nabytych. Skończyłoby się na tem, iżby Francja postradała protektorat, ze zbyt wielkiem poświęceniem okupiony.“

„Cesarz mniema, że przyjdzie czas i to niezadługo, w którym wypadnie przywrócić państwom europejskim zupełną ich niepodległość.“

---

*) Aleksander Sapieha z Litwy, był później przy komisji rządzącej litewskiej. Ks. Konstanty jenerał ziem podolskich, feldmarszałek austrjacki, był później marszałkiem jeneralnej konfederacji królestwa polskiego, porozumienie się z nim ułatwiał Stanisław Potocki, Matuszewicz minister i przybyły książe Józef Poniatowski. O działaniach ks. Konstantego dowiemy się zresztą w ciągu dalszym niniejszego opracowania.

**) Co rzeczywiście się ziściło w r. 1813 i 1814.

*

„Dom austrjacki, który posiada trzy obszerne królestwa, powinien być duszą niepodległej konfederacji niemieckiej, z powodu topograficznego położenia państw swoich, ale nie powinien być jej panem. W przypadku zerwania stosunków przyjacielskich między Francją a Rosją, związek jednomyślny państw środkujących może spowodować konieczny upadek jednej z dwóch stron wojujących. Cesarstwo francuzkie więcejby w tym razie było narażone od rosyjskiego.“

«Środek Europy składać się powinien z państw nierównych pod względem potęgi, każde oddzielną i właściwą sobie politykę mających, które z powodu położenia swego i stosunków politycznych szukać będą podpory w protekcji mocarstw przemagających. Te państwa będą zawsze za spokojem, bo by się zawsze ofiarami wojny stać musiały. W tych widokach, wzniosłszy nowe państwa i powiększywszy dawne, aby nadal wzmocnić nasz system związkowy, jest jeszcze jeden przedmiot daleko ważniejszy dla cesarza i dla Europy, tj. przywrócenie Polski. Bo bez odbudowania tego królestwa (*sans la reédification*) Europa nie będzie miała stałych granic od tej strony; Austrja i całe Niemcy stać będą naprzeciwko najpotężniejszego mocarstwa na świecie.“

„Cesarz przewiduje, że Polska i Prusy będą z czasem sprzymierzeńcami Rosji; lecz jeżeli Polska swoje odrodzenie będzie winna, połączenie się tych dwóch narodów tak późno nastąpi, że tymczasem będzie się mógł ustalić zaprowadzony porządek rzeczy. Gdy Europa tym sposobem raz uorganizowaną zostanie, nie będzie już tem samem powodów do współzawodnictwa między Rosją a Francją; bo oba te mocarstwa będą miały jednakowe interesa i potrzeby handlowe, i będą mogły postępować podług jednakowych zasad.“ (C. d. n.)

TARAS SZEWCZENKO.

(Ciąg dalszy)

IV.

(Najemnica. Urzeczona. Topielica. Hamalija).

Przystępujemy teraz do rozbioru innych poematów, pochodzących z tej epoki życia Szewczenka, do poematów, w których okazuje się nam także czysto ludowym, tylko stosunki ukraińskie mającym na oku; nie wznoszącym się nad sferę pojęcia ludu swojego, jego tradycji, przesądów i sposobu myślenia. Zobaczymy go teraz czasami robiącego dla tego gminu ofiarę nawet z historycznej prawdy aby mu się nie stać niezrozumiałym, nie chcącego jednem słowem, lub jednym zwrotem przeciwnym jego pojmowaniu, narazić się na odrzucenie całego swego wieńca pieśni i dum, które lud ten mogą ożywić i z czasem doprowadzić do szlachetności. Szewczenko położył sobie zdaje się zadanie, rozbudzić ten lud, śpiący strasznym snem niewoli, rozbudzić i przynajmniej zaszczepić w nim skłonność do dobrego. Aby zaś dojść do tego celu, musi tak przemawiać, żeby go słuchano. . . . Dla tego więc musi zawsze przedstawiać fakta historyczne tak, jak lud je pojmuje, jak mu mówi o nich tradycja, a wtenczas dopiero stara się nadać tym faktom prawdziwą barwę, cechując ją łagodnie, ubolewając więcej nad złem, niż ganiąc je wprost ostremi słowami; krótko powiedziawszy, używa on do zaszczepienia promyka miłości w ludzie, sposobu najbardziej przemawiającego do kozaczych potomków, sposobu pieśni chociaż krwawej, jaskrawej, ale ułagodzonej płaczem, ubolewaniem.

Utworami, o których teraz mówić zamierzamy, są: „Najemnica,“ „Urzeczona,“ „Topielica,“ i duma historyczna „Hamalija.“ W osobnym rozdziale rozbierzemy „Tarasową Noc“ i “Hajdamaki.“

Poemat Najemnica zaczyna się prologiem.

W niedzielę krył się step tumanem . . . a wśród stepu, na mogile, siedziała młoda kobieta i tuliła coś do łona i smutną toczyła z burzą rozmowę. To matka tuli do piersi syna poczętego wśród łez i wstydu; syna, w którym ma świat wytykać kiedyś grzech matki. Znowu więc, jak w Katarzynie poeta dotknął tej bolesnej struny, znowu uwiedziona dziewczyna przedmiotem jego poetycznej myśli i mowy. Tylko tu pomija samo uwiedzenie, pomija miłość do uwodziciela, tę miłość, która była tętnem w sercu Katarzyny. Tu widzi on nieszczęśliwą kobietę, oswajającą się ze swym losem, zrywającą z przeszłością, nie robiącą sobie żadnej nadziei szczęścia osobistego — tu wystawia on nam ją opanowaną przez jedno uczucie, uczucie miłości macierzyńskiej. Ono wszystko w niej przygłusza. Syn, jego dola, jego szczęście, jedynie ją zajmują, są jej dolą i jej szczęściem jedynem; więcej nie pragnie, pragnąć nie może — może niegodną się innych pragnień czuje? Dlatego też postać Najemnicy, jest wyższą, piękniejszą od Katarzyny i jakoby osłonioną jakimś blaskiem świętości.

Żyło wtenczas dwoje wiekowych ludzi, małżeństwo kochające się i zgodne. Nic im nie mieszało lubego spokoju życia, uprzyjemnionego dostatkiem i zgodą. Jednego im tylko brakło — Pan Bóg nie obdarzył ich dziećmi. Poeta opisuje ich mieszkanie i obejście całe, a opisywanie to odznacza się prostotą, stosowną przy takich obrazowaniach. Ustęp ten, kończy się zwrotem, zastosowanym do smutku dwojga staruszków z powodu bezdzietności.

Tiażko ditéj hoduwaty
U bezwerchij chati,
A szcze hirsze starítysia
U biłych pałatach, —
Starítysia, umeraty,
Dobró pokidaty
Czużým ludiam, czużým ditiam
Na śmich, na roztratu!

W dzień świąteczny siedzieli sobie oboje na przyzbie i smutni dumali. Dlaczego smutek ich obarczył? Wszystkiego mają podostatkiem, tylko im żyć i weselić się. Może wybierają się już na tamten świat, a kto ich wyprawi? Kto pochowa? Kto zapłacze? Nie mają dzieci, a dobytek ich cudzy ludzie zabierą!... W tem płacz jakiś usłyszeli za wrotami, jakoby płacz dziecięcia... Zerwali się oboje starzy i pobiegli i znaleźli, o uciecho, dziecię przed wrotami spowite i płaczące... Wyciągnęło do nich ręce i płacze. Ucieszyli się i otóż widzą już przyszłą dolę i szczęście swoje! Przyjmują dziecię podrzucone i zajmują się niem i do chrztu przygotowania robią. To jest drugi ustęp poematu, kończący się refleksją poety:

Czudno jakóś
Dijetsia miż' namy!
Odýn syna prokłynaje,
Z chaty wyhaniaje,
Druhýj świreczku, serdecznyj
Potom zaroblaje,
Ta rydájuczy stanowyt'
Pered obrazamy —
Nemá ditéj!... Czudno jakóś
Dijetsia miż' namy!

Czyż może być trafniejsze spostrzeżenie, i lepiej zastosowana uwaga!...

Ochrzcili dziecię znalezione i Markiem je nazwali. Cieszą się starzy, sami nie wiedzą jak dogadzać chłopięciu, gdzie je podzieć. I rośnie tak Marko u swoich przybranych rodziców. Po roku przychodzi do starych, nieznana młoda kobieta i prosi się na służbę.... Przyjmują ją starzy, bo sami już sił do chodzenia koło gospodarstwa nie mają, a i do Marka trzeba kogoś przyjąć. I chcieli się naprzód zgodzić o zapłatę, ale mołodyca nie chce, ociąga się. I stanęło na tem, że mieli w dom ją przyjąć i później się zgodzić. Najemnica wesoła, jakby za pana poszła, albo wieś kupiła. Krząta się koło chaty od rana do wieczora, a już to najwięcej zadaje sobie starań koło Marka. Kiedy

tylko może, bierze go na rękę, pieści, całuje, czesze go starannie, umywa i w czystą odziewa bieliznę. I cieszą się starzy, że znaleźli taką sługę. Toż ona dla ich Marka jakby matka rodzona. Ale nie zawsze najemnica tak wesołą. Noc i Marko tylko, gdy się przebudzi, widzą jej łzy i słyszą narzekania. Ale pierwsza głucha i niema, a Marko — on mówić jeszcze nie umie i nie wie dlaczego płacze piastunka jego. Nocą przeklina ona dolę swoją, narzeka i wzdycha i łzami Marka oblewa, aż niespokojnie rzuci się malczyk na posłaniu swojem... Wtenczas porzuca płacz i narzekania i biegnie do dziecięcia, a kołysząc je i krzyż nad niem robiąc, modli się .. Biedna najemnica!...

Tymczasem wiele lat przeminęło, wiele przepłynęło wody. W chutorze zmiana zaszła; pochowali staruszkę Nastę; został się sam Trochim, a w smutku cieszył się podrastającym Markiem. Nareszcie Marko już czumakuje, ba już i czas ożenić go. I stary Trochim radzi się najemnicy. Ona radaby carównej dla Marka, ale niech on sam według serca wybiera. Wysłano tedy starostów i miało być wesele. Lecz któż Markowi matkę zastąpi? pytał Trochim najemnicy Hanny. Starej Nasty niema już — i zapłakał staruszek. A Hanna przy drzwiach stała, chwyciła się całą siłą za odźwierek, i padła na ziemię zemdlona...

Tycho stałoś w chati,
Tilko nájmyczka szeptała:
Maty.... maty...., maty....

Nadszedł czas wesela. W chutorze ruch, gwar; stary krząta się, tańczy nawet z dziewojami; sprasza gości znajomych i obcych. I dobrze się bawią. Wszyscy z chutora są obecni, jednej Hanny tylko niema, niema najemnicy. Gdzież ona? Czemuż nie była mu matką na weselu, ona, która go tak kochała? Prosił ją o to Trochim i Marko ją prosił, ale nie chciała... Wszak ty Marku, mówiła, bogaty, a ja? biedna najemnica! Ludzie śmieliby się z ciebie, gdybym matką ci była. I poszła w daleką drogę, do Kijowa pomodlić się wszystkim świętym. Odchodząc pobłogosławiła Marka i zapłakała. Wesele rozeszło się, a Hanna idzie tymczasem do Kijowa. Zaszła w końcu i najęła się u mieszczanki wodę nosić, bo nie stało na akafest do św. Barbary. Zarobiwszy trochę pieniędzy, kupiła w Pieczarach święconą czapeczkę dla Marka od bolu głowy, a dla jego żony Katarzyny, pierścień od św. Barbary i nazad przywlokła się do chutoru. Zobaczyli ją Marko i żona, wybiegli z chaty, za stół posadzili i z czcią ją przyjęli. Ustęp ten kończy się wierszami, w których Hanna obawia się, czy nie dowiedzieli się o czem, czy nie zgadli, kiedy ją z taką czcią przyjmują:

Za szczo mené lublat?
Za szczo poważajut?
O Bože mij myłoserdnyj,
Może, woný znajut?...

Może, woný dohadałyś...
Ni ne dohadałyś;
Woný dobri...
I nájmyczka
Tiażko zarydała.

W szóstym ustępie, opisany jest czwarty już powrót Hanny z Kijowa. Bo od wesela Marka, ona co roku chodzi na odpust. Tą razą mocno zaniemogła i ledwie już zdołała dojść do chutoru. Przyjęła ją Katarzyna, jak córka matkę a Trochim jak ojciec; oni sami, bo Marka nie było, zabawił się na czumactwie. Przyniosła najemnica już czwarty pierścień dla Katarzyny i trzy święcone świeczki. A Markowi i sobie nic nie kupiła, bo pieniędzy nie stało, a zarobić już nie mogła. I dzieciom zaledwie pół obwarzanka przyniosła i między nie podzieliła.

W następującym ustępie, widzimy najemnicę chorą, umierającą już prawie. Widzimy tu odmalowaną tę boleść matki, która widząc śmierć przed

oczyma, nie może mieć dziecięcia drogiego przy sobie, aby je pobłogosławić; dziecięcia, dla którego tyle cierpiała, któremu służyła, nad którem tyle łez wylała, któremu całe życie poświęciła!... O prawdziwie, wielka to, bardzo wielka boleść i wielkie są siły ducha, które żądzą i nadzieją widzenia kochanego dziecięcia, podtrzymują ginące słabe ciało! — Co godziny pyta się, czy nie wrócił Marko? I wrócił nareszcie. To ostatni ustęp, najpiękniejszy: najsilniejszy ze wszystkich, dość słabo narysowanych obrazów „Najemnicy". Poprzywoził Marko różne gościńce z czumactwa dla Katarzyny, dla Trochima, dla dzieci i dla Hanny. Przyjechał nie przeczuwając nic złego, nie spiesząc się. Widząc wszystkich około siebie, pyta się o Hannę, która jedna nie wyszła na jego spotkanie. Czy umarła? Nie, nie umarła, mówi Katarzyna, ale mocno zaniemogła i prowadzi go do niej. Teraz następuje najpiękniejsza scena, którą tu w całości przytaczamy:

Wwijszóŭ Marko w małú chatu
I staŭ u porohu....
Aż zlakáŭsia. Hanna szepcze:
Sława.. sława Bohu!
Chodý siudý, ne lakájsia....
Wyjdy, Katre, z chaty:
Ja szczoś maju rozpytaty,
De-szczo rozkazaty.
Wyjszła z chaty Kateryna,
A Marko schyłýŭsia
Do nájmyczki u hółowy.
„Marku! podywýsia,
Podywýsia ty na mene,
Bacz, jak ja zmarniła?
Ja ne Hanna, ne nájmyczka,
Ja....
Taj zanimiła.
Marko płakáŭ, dywuwaŭsia,
Znoŭ oczy odkryła,
Pylno, pylno, podywyłaś —
Slozy pokotyłyś.
Prostý mení! Ja karałaś
Weś wik w czużíj chati...
Prostý mení, mij sýnoczku!
„Ja.... ja twojá maty..."
Taj zamoŭkła....
Zamlíŭ Marko,
I zemlá zadryżała.
Prokynúŭ sia do mátery —
A maty wże spała!

Na tem kończy się „Najemnica". (C. d. n.)

HELLENIZM A POLONIZM.

(Ciąg dalszy.)

II.

(Studjum języka a studjum literatury greckiej. — Czy literaturę grecką koniecznie w oryginałach studjować potrzeba? — Stosunek przekładów do oryginałów.)

Muszę tu koniecznie oddzielić naukę literatury i innych powiązanych z nią umiejętności, dotyczących się helleńskiego świata od nauki języka; ta interesuje, u nas zwłaszcza, ciaśniejsze tylko koło ludzi, mających zdolności i — o co u nas rzadziej — chęć do studjów lingwistycznych; nauka zaś dziejów i wiadomości z dziedziny literatury i sztuki greckiej mogą i muszą budzić ogólniejsze zajęcie. I to się da powiedzieć nietylko o helleńskich ale też o wszelkich innych studjach podobnego rodzaju.

Z drugiej strony ma nauka języka jakiegoś, niezawsze tylko samo poznanie literatury w nim złożonej na celu, a często niema nawet ogółem tego celu między innemi. Nie mówię tu już o celach praktycznych i niepraktycznych, jakie mamy przy uczeniu się języków nowoczesnych żyjących, a

które często są zupełnie odmienne od tych, jakie sobie nauka języków starożytnych postawiła. Jedni uczą się ich tylko dla przygotowania należytego zrozumienia autorów starożytnych, dla prac krytycznych około oczyszczenia ich tekstów z błędów gloss, przemian i dodatków przez przepisywaczy poczynionych; inni studjują język dla poznania języka samego, jego właściwości, jego gramatykalnej budowy, uważają na jego harmonję, na skład zgłoskowy i przebijające się w nim prawidło, na przemiany eufoniczne, obserwują w jakich formach się ogólna filozofja i konsekwencja logiczna myśli w ustroju jego składni i w związku form derywacyjnych i deklinacyjnych przemian odbiła które strony myśli, które odcienia pojęć i ich stosunków, które zwroty logiczne dosadniej i dobitniej, które pełniej i bogaciej, które jaśniej w nim wyrażone — regestrują go pod ogólny pogląd z powszechno - filozoficznego względem mów stanowiska, i porównują go, tak pod względem tych własności jak pod względem tych zalet lub braków, z innemi bliżej lub dalej mu spokrewnionemi językami. Jeżeli zaś taka porównawcza etymologja nie wybuja w przesadzone i naciągnięte a bezcelowne i bezskuteczne wyszukiwanie podobieństw, — prowadzone nieraz bez znajomości głównych prawideł derywacji i etymologji językowej — to jest sama dla siebie, jako obraz dziwnego a głębokiego ducha konsekwencji, panującego w przemianah językowych, dość ciekawą i zajmującą nauką, i może oddać dla postępu historji, zwłaszcza dla rozjaśnienia pierwszych ciemnych i niepewnych jej początków niemałe przysługi. Lecz dla nas Polaków cel ten jak na dzisiaj podrzędniejsze ma znaczenie. Literatura nasza, zajęta w obecnem naszem narodowem położeniu więcej bieżącemi dziejami niż tak odległą zamierzchłą przeszłością, której wpływ i oddziaływanie na dzisiejsze nasze życie bardzo już mało czuć się daje; wytężona w ciągłem czuwaniu nad niepokalaną czystością myśli narodowej, którą na coraz to wyższe i szlachetniejsze stanowisko podnosić ma sobie za główne i jedyne prawie zadanie; — nie wiele może zwracać uwagi na pole badań etymologicznych. Musimy tu więc skonstatować fakt, że przy studjach helleńskich mniej nam na języku, niż na istocie ducha literatury, dziejów i sztuki helleńskiej zależeć będzie.

Aby zaś istotę, ducha jakiej literatury poznać, nie jest koniecznie potrzebnem w tym języku z nią się obznajamiać, w którym oryginalnie się rozwijała i pomniki w dziejowym swym przebiegu utworzone, pierwotnie spisała. W tej mierze zdarza się u nas dość często napotykać liczne przeciwko przekładom uprzedzenia. Komunał, bardzo tylko względnie i jednostronnie prawdziwy, że przekład oryginałowi nie dorówna, znachodzi nieraz zastosowanie bardzo bezwzględne i powszechne, na jakie zgoła nie zasługuje. Bez wątpienia ma każdy język sobie właściwe pewne zwroty i odcienia myśli, które z pewną predylekcją dla nich tak jasno i dobitnie oddaje, że one w innym języku tylko przez określenia, a i to niedostatecznie i nie dość dobitnie, oddane być mogą. Musimy jednakże z drugiej strony rozważyć, że podobne zwroty i odcienia tylko dla narodu, w którego języku przychodzą, szczególniejsze mają znaczenie i że tylko on na nie szczególną uwagę zwracać będzie. Inni pochwycą to samo miejsce bez cieniowanego tak dokładnie kolorytu, prawie z tą samą a zupełną satysfakcją i nie uczują tak bardzo braku podobnego cieniowania, a i w razie wiernego oddania podobnych odcieni nie zwrócą na nie szczególniejszej uwagi.

Porównanie lepiej tę rzecz wyjaśni. Wiemy, że jeżeli ś. p Nowakowski dawnego Polaka swoim sposobem przedstawiał, że w grze jego wiele drobnych a bardzo charakterystycznych rysów było, których kto inny zgoła nie, albo nie tak wybornie oddaćby umiał; w wielu zwrotach gry jego, tak np. w owem strzępieniu wąsów, w owej minie zachmurzonej lub zamyślonej z podniesionym do czoła palcem, w owem raptusiewiczowskiem żachnięciu się chwilowym gniewem nad głupotą Dyndalskiego było coś, co się dokładnie i

łatwo słowami określić nieda, a co na nasze usta zawsze mimowolny uśmiech zadowolenia i swobodnej wesołości wywoływało. Przeciwnie zaś jaki Niemiec, Anglik, Francuz, Włoch lub jakiejkolwiek innej wiary człowiek, umiejący wybornie po polsku — lecz nie przez dłuższy pobyt między nami, ale przez uczenie się z gramatyki, jak tylko daleko tą drogą w najlepszym razie doprowadzić można — dziwiłby się mocno, z czego się ci ludzie śmieją, gdy on w tem niczego śmiesznego dopatrzyć się nie może. To też aktor przedstawiający dawnego Polaka na jakiej scenie zagranicznej, mógłby go wygodnie bez użycia tych drobnych odcieni przedstawić, i przedstawienie mogłoby być bez tego wszystkiego jak dla widzów wcale wybornem, a gdyby je przez dodanie podobnych środków podnieść usiłował, byłby skutek bardzo nieznaczny albo co najmniej zgoła nieodpowiedni wielkości zamierzonego celu i łożonych usiłowań. Dla obcych podobne odcienia nie mają interesu i nie budzą ich zajęcia. Tak samo pobudzał i nieboszczyk Nestroy nieraz cały teatr wiedeński do homerycznego śmiechu giestami, ruchami, wygłaszaniem miejsc lub innemi środkami, przy czem mybyśmy się znowu chyba z tego śmiać mogli, że ci ludzie z czegoś podobnego śmiać się mogą, a najpewniej stanęlibyśmy z otwartemi szeroko oczyma nie rozumiejąc całej rzeczy i myśląc żeśmy jakąś chwilową śmieszną sytuację na scenie zgubili, albo że się co zabawnego w sali wydarzyło.

Tak samo ma się i z językiem. Nie chcąc szukać dalekiego przykładu chwytamy za pierwszy lepszy. Gdy chcemy powiedzieć że mężczyzna i kobieta byli samodwój razem, powiemy po polsku: „było ich dwoje.“ Niemcu, choćby jak dobrze przestudjował gramatykę polską, wymknie się tu nieraz „dwa,“ bo język niemiecki na różnicę rodzajową w odmianach bardzo mało zwraca uwagi, podczas gdy my ten stosunek zawsze bardzo wyraźnie i drastycznie podnosimy. Tak samo odpowie on nieraz na zapytanie: ile ona ma dzieci? „cztery“ — tam gdzie my koniecznie „czworo“ powiedzieć musimy. Jest to przykład bez namysłu wyrwany a należący poczęści jeszcze do etymologicznej części gramatyki, dotyczącej więcej formalnej i materjalnej strony języka; — a cóż dopiero mówić o innych różnicach w składni, gdzie one są o wiele głębsze i istotniejsze.

Wiele więc rzeczy w każdym przekładzie się zagubi, ale będą to rzeczy mniej naród obchodzące, dla którego ten przekład będzie sporządzony, a który też na wiele miejsc w samej treści mniej uwagi zwracać będzie, niż ten, do którego oryginał należy. Cóż więc w gruncie w przekładzie istotnie się gubi i zostaje nieprzetłumaczonem? — kalambury, dwuznaczniki, dowcipy lokalne — ale na podobnych rzeczach istota utworu artystycznego nie zależy. Ducha, koloryt czasu i narodu myśl ogólną, mającą dla wszystkich jednakową wartość nawet z jej specjalnem narodowem okraszeniem i że tak powiem ubraniem w suknię narodowi i wiekowi właściwą, można z przekładu równie dobrze poznać jak z oryginału; są bowiem wielkie prawdy ludzkie, które w każdym języku jednakowo oddać się dadzą. Ewangielja na wszystkie języki całego świata została przełożoną, i dla wszystkich narodów jednakowe ma znaczenie, a przedstawienie Makbeta również ma jednakową artystyczną wartość i humanitarny chrześcijański interes, czy Makbet po angielsku, czy po polsku, czy po włosku mówić będzie. Tylko ten kto jest członkiem narodu, do którego oryginał należy, albo ten kto z dokładną znajomością właściwości narodowych oryginał czytał, tylko ten uczuje różnicę między oryginałem a przekładem, i względną niższością tego ostatniego; ale dla tego jest też przekład niepotrzebnym, bo może czytać rzecz w oryginale, a widząc słabość przekładu powinien się starać zwrócić uwagę na jego braki i słabe strony, i wedle możności je usunąć, ile to się da stosownie do stosunku między obydwoma ęzykami uskutecznić. Szerszemu ogółowi dobry przekład zupełnie wy-

starczy. Powiedziałem wyżej „względną niższość przekładu,“ bo nieraz się zdarza, że przekłady należycie opracowane co do formy nawet wyżej od oryginałów stoją.

Jeszcześ to w poezji przyznaję że przy dobrych utworach poetycznych trudną jest rzeczą, ażeby przekład oryginałowi co do języka, co do formy, i co do jej zgodności z treścią dorównał, chociaż i tu w pewnych razach nieraz nawet sam oryginał przewyższyć może, zwłaszcza że bywają urodzeni poeci przekładacze, w swych oryginalnych utworach nieraz wcale nie szczególni, w przekładach nadzwyczaj wysoko stojący. Każdy naród ma jednakże w poezji pewne właściwości, pewne formy wyrobione, które w niektóre inne języki zgoła przenieść się nie dadzą, albo tylko bardzo niezupełnie i koszlawo przeniesionemi być mogą, albo przeniesione koniecznie pewnej modyfikacji wymagają, i nieraz właśnie do innych rzeczy a nie do tych dobrze użyć się pozwalają, z których, albo z któremi w ten język weszły. Takim jest polski wiersz eufoniczny bez zachowania rytmicznego spadku, u nas w większych utworach opisowej treści, a dłuższym niż ośmiozgłoskowym wierszem pisanych, prawie jedynie możebny; taką jest strofa w francuzkich śpiewkach, komedjach i wodwilach używana, w której się 3—5—7— i nawet więcej zgłoskowe wiersze ze sobą mieniają; takim jest rytmiczny wiersz grecki o mieniającej się liczbie zgłosek w skutek prawidła, że dwie krótkie za jednę długą ważą, i z mieniającem się miejscem średniówki, czyli głównej cezury wiersza, — wiersz który do łaciny dość łatwo dał się wprowadzić, ale często bardzo ciężko w niej wygląda, który do czeskiego języka dobrze, do niemieckiego ciężej i pod względem wagi miarowej czasem w bardzo nadkruszonej i ściętej formie — do francuzkiego tylko z wielkim trudem i to tylko w niektórych z swych licznych rodzajów, do polskiego zaś języka prawie zgoła zastosować się nieda. Niby to heksameter w Konradzie Wallenrodzie Mickiewicza w ustępie „Zkąd Litwini wracali?“ użyty, jest tylko karykaturą, zwiędłym, zeschłym szkieletem heksametru bez gibkości i życia i czyni ten ustęp pod względem muzyki wiersza nadzwyczaj monotonnym, podczas gdy w greckiem ten przepyszny rodzaj wiersza i co do liczby sylab i co do kombinacji ich wagi rytmicznej i co do miejsca średniówki, 125 możliwych warjacji w sobie mieści. Dlatego przy dłuższych poematach epicznej treści lepszą daleko jest dla nas rzeczą w takich razach zupełnie niewiązaną mową przekładać, jak to Zauper w swym wybornym przekładzie Homera uczynił, jeźli się nie chce użyć formy używanej w utworach oryginalnych własnej literatury, albo narodowe żywioły wiersza tak kombinować, ażeby swą muzyką i architekturą harmoniczną i układem stroficznym jak najbardziej oryginałowi odpowiadały, co szczególnie przy krótszych utworach lirycznych jest potrzebnem, gdzie można z taką samą słusznością twierdzić, że układ, muzyka wiersza nieraz połowę poematu stanowi, z jaką nasz poeta powiedział, „że na szerokiem błoniu serce jeźdzca po połowie w koniu bije.“

Przy poznaniu więc literatury helleńskiej muszą nam tak jak i w innych podobnych razach dobre przekłady, oryginały zastąpić, bo uważmy zresztą, że chcieć literaturę tylko kilku co najznamienitszych narodów i to tylko w obecnych stadjach ich rozwoju językowego w oryginałach poznawać, jest przynajmniej dla szerszego ogółu rzeczą niemożebną i już przez samo uczenie się tylu języków więcej czasu zabierającą, niż korzyści przynieść może.

Sądzimy przeto, że szersza publiczność studja literatury helleńskiej bardzo wygodnie i bardzo dobrze w przekładach robić może, — kto zaś ma zdolności i usposobienie po temu — a nie tego u nas brak ponoś, ale ochoty wielki niedostatek dotkliwie czuć się daje — powinienby się rzucić i do studjum języka greckiego, bo na nieszczęście w polskim języku i tłumaczeń nie nadzwyczaj wiele mamy. A choćby ich i dosyć było, to są jednak zawsze znawcy obu języków potrzebni, którzyby ich poprawność kontrolowali i nad

ich postępem ku lepszemu czuwali. Do obcych zaś tłumaczeń chwytać się nie radziłbym, bo to nie bardzo dobrze na poprawność języka wpływa; czerpać z nich zaś i z nich dzieła klasyczne na ojczysty język przekładać, jak to n. p. Dmochowski z Iliadą Homera uczynił, którą z francuzkiego przełożył, jest również rzeczą nie zasługującą na polecenie, bo daje po pierwsze smutne świadectwo o ubóstwie narodowem i o braku skrzętnych prac specjalnych a po drugie szkodzi bardzo językowi przekładu, zacierając jeszcze bardziej koloryt oryginału, który n. p. w przytoczonym wyżej wypadku wiele ma właściwości, dających się oddać z łatwością w naszym języku a niknących przed okiem a jeszcze bardziej z języka Francuza; inne zaś, wymagają określenia, które inaczej odpowiednio do ducha naszego a inaczej odpowiednio do ducha francuzkiego języka wypaśćby powinno.

Potrzebaby nam w tym kierunku tem bardziej pracować, że jak się będę starał w obecnej rozprawce dowieść, duch starożytnej Hellady więcej niż się spodziewamy ma pokrewieństwa z kierunkiem, do którego się w obecnym czasie całe społeczeństwo europejskie ogółem, a jak dla nas nasz naród szczególnie wyłamuje, i że z podobnych studjów dla naszej literatury i dla całego naszego umysłowego życia więcejby korzyści urosło, niż się to na razie wydać może.

Nim jednakże do tych ważniejszych rzeczy przejdę, chcę tu najprzód od najdrobniejszego i najmniej znaczącego zaczynając, tylko pokrótce podnieść, jakie analogje między polskim a greckim językiem zachodzą, i jakieby korzyści dla postępowego rozwoju gramatyki polskiej z obznajomienia się z gramatyką grecką urosły, na którem to polu mimo prac znakomitych niektórych gramatyków, jak przedewszystkiem, szczególnie Dra Antoniego Małeckiego, nie mało jeszcze do czynienia pozostaje; zwłaszcza że dopiero od niedawna u nas staranniej i umiejętnie około niej krzątać się poczęto. Nie mówię już zaś zgoła o tem, że wartoby było i inne podobne porównawcze studja zarządzić, z czegobyśmy mieli ciekawe i wiele rozświecające analogje z porównania charakterystycznych podobieństw i różnic mitów, obyczajów, zwyczajów, prawodawstw i stosunków społecznych helleńskich z naszymi słowiańskimi ogółem, a względnie i poszczególnie polskimi.

(C. d. n.)

Adam Smith i jego szkoła.

(Ciąg dalszy.)

Człowiek jest ubogim lub bogatym, mówi Smith, w miarę jak potrzeby swoje zaspokajać może; ponieważ zaś przy zaprowadzonym podziale pracy, małą tylko część swych potrzeb sam, resztę zaś pracą drugich zaspokaja, to będzie ubogim lub bogatym, w miarę jak pracą obcą rozporządzać może. Wartość więc jaką rzecz pewna ma dla tego, który jej sam użyć lub spotrzebować nie chce, odpowiada pracy jaką w zamian za nią otrzymać może. Praca więc jest prawdziwą miarą wartości zamiennej, pracą a nie złotem i srebrem płacono pierwej, a rzeczy jakie w zamian brano, wymagały do swego sporządzenia tyle właśnie pracy i trudu, ile potrzeba było na to, aby rzeczy w zamian dawane sporządzić.

Lecz chociaż praca jest prawdziwą miarą wartości zamiennej, to jednak nie mierzy się zwykle wartości podług niej. Trudnem jest bowiem porównywanie pracy z pracą, (n. p. pracy rzeźbiarza z pracą piekarza) zwłaszcza że przy każdej większe lub mniejsze zdolności tak umysłowe jak też i cielesne, ważną odgrywają rolę. Nie jeden jest w stanie za godzinę zrobić tyle i tak

dobrze, czego drugi za dwie i trzy godzin nie potrafi. Nadto nie mienia się towarów za pracę, lecz za inne towary; stosowniejsza więc wartość zamienną mierzyć według innej jakiejś rzeczy, a niżeli według pracy potrzebnej do sporządzenia przedmiotu mieniać się mającego. Zresztą jest ocenienie takie daleko wygodniejszem i przystępniejszem dla ogółu.

Towarem zaś, podług którego najlepiej i najłatwiej inne oceniać można jest pieniądz; — i on to odgrywa od zaprowadzenia podziału pracy najważniejszą rolę przy wszystkich zamianach.

Stałą jednak miarą wartości towarów, złoto i srebro (pierwotny materjał pieniężny) być nie mogą, gdyż zmieniają często same, jak to doświadczenie uczy, swoją wartość. Praca zaś nie zmienia nigdy swojej wartości, jest więc jedyną niezmienną miarą wartości wszystkiego innego. Jest jednak jeden wyjątkowy wypadek, w którym się zdawać może, że praca ma podwójną: rzeczywistą i imienną (nominalną) wartość. Wypadek ten ma tam miejsce, gdzie robotnik pracę swoją sprzedaje — (za robotnika się najmuje) — tam bowiem otrzymuje tak wysoką tylko płacę, jak wysoko pracę jego, potrzebujący jej, ceni. A ocenienie to jest różnem według okoliczności.

Różnica między ceną rzeczywistą, (realną), a ceną imienną (nominalną) towarów i pracy, nie jest rzeczą samej teorji, lecz jest zarazem i w praktyce ważną. Imienna bowiem cena opierająca się na wartości złota i srebra, zmienia się często, gdy przeciwnie cena rzeczywista opierająca się na pracy, nie zmienia się nigdy. Złoto i srebro zmieniają swą wartość rzeczywistą, w dłuższych przeciągach czasu, daleko więcej a niżeli zboże, które pomimo mocnych zmian wartości w krótkich odstępach czasu, z stulecia w stulecie zwykle tę samą wartość rzeczywistą przenosi. Ponieważ dalej zmiany, jakim rzeczywista wartość pracy podpada, w ścisłym stosunku z rzeczywistą wartością niezbędnej robotnikowi żywności stoją, przeto jest daleko korzystniej długotrwałe renty i czynsze a przynajmniej pewną ich część w zbożu lub cenach zboża a niżeli w kwocie pieniężnej ustanawiać. *) Sam Smith przyznaje jednak, że to co o zmienności wartości pieniędzy, i o większej stałości wartości zboża powiedział, tylko przy wiecznych rentach lub długotrwałych kontraktach na uwagę zasługuje; — w codziennem zaś życiu żadnego wpływu nie wywiera.

W tym samym czasie i na temże miejscu, mówi dalej Smith, stoją wartość realna i nominalna w najściślejszym stosunku; — dla tego też jest pieniądz w danym razie zawsze prawdziwą miarą wartości zamiennej. Stosunek ten zachodzący między ceną rzeczywistą i nominalną (pieniężną) na jednem i tem samem miejscu, nie istnieje wcale między temiż na dwu znacznie od siebie oddalonych miejscach; — dla tego też musi kupiec, przewożący towary z jednego miejsca na drugie, tylko na różnicę cen pieniężnych uważać. Ponieważ koniec końców zawsze tylko cena imienna albo pieniężna każdemu kupnu i każdej sprzedaży przewodniczy — to nie dziw że z dawien dawna na nią daleko więcej, a niżeli na cenę istotną, rzeczywistą uważano.

Wykazawszy dalej przyczyny, dla których w pojedyńczych krajach różne monety (złote, srebrne i miedziane) pozaprowadzano, że monety często próbę, wartość i nazwy zmieniają, — wykazawszy, że między pojedyńczemi monetami różny czasami stosunek zachodzi, co znowu wywodzi z fałszywego cenienia srebra i złota w sztabkach jak zwykle się sprzedaje i kupuje; powiada dalej, że ceny targowe złota i srebra w sztabkach podobnym jak wszystkie inne towary podlegają zmianom, z przyczyn czysto handlowych lub przypadkowych. Za wielki napływ drogiego kruszcu na targach pojedyńczego kraju sprowadza zniżenie ceny tegoż, i odwrotnie.

*) To twierdzenie opiera Adam Smith na licznych przykładach historycznych i rozporządzeniach rządowych mających zapobiedz niesłusznemu umniejszaniu się rent, lub zupełnemu tychże opadaniu w skutek upadku wartości pieniężnej.

W miarę jak pieniądz zostający w obiegu jest ważnym, (t. j. im więcej próba jego jest taką jaką być powinna), jest on też lepszą lub gorszą miarą wartości. Ponieważ dalej monety przez częsty obieg się ścierają, a przez to na wadze, względnie na wartości tracą, to ocenia się wartość towarów, pominąwszy próbę, także według przeciętnej wagi monet, a nie według wagi jaką mieć powinny. Dla lepszego zrozumienia (gdyż będzie porównywał często ceny różnych miejsc i czasów) dodaje wreszcie Smith: „że pod ceną pieniężną pojmuje zawsze ilość czystego złota lub srebra, za jaką się ten lub ów towar sprzedaje, bez najmniejszego względu na imię monety.“ I tak, uważa n. p. 6 Sh, 8 p. z czasów Edwarda I. za równe 1 Ft. St. z swoich czasów, gdyż monety te za jego czasów właśnie tyle czystego srebra obejmowały.

Cena każdego towaru, mówi Adam Smith dalej, składa się z następujących części: płacy robotnika, zysku przedsiębiorcy i renty gruntowej. (W zysku przedsiębiorcy widzi także zysk czyli odsetki z kapitału). Udowodnia zaś to w następujący sposób.

W stanie pierwotnym poprzedzającym stałe osiedlenie się pojedyńczych, jest praca, t. j. trud potrzebny do sporządzenia lub uzyskania czegoś, jedynym regulatorem wszystkich zamian. Jeżeli więc na sporządzenie jakiej rzeczy dwu godzinnej pracy potrzeba, to ma ona wartość dwa razy większą, jak ta rzecz, którą w godzinie zrobić można. W tym więc razie jest wynagrodzenie, objawiające się przy zamianie, stosownie do większego trudu, większem. Toż samo ma miejsce jeżeli praca jaka większych zdolności umysłowych, lub większej zręczności wymaga, w tym bowiem razie zawiera wyższa cena, nałożona na produkt tej pracy, zarazem wynagrodzenie za trud łożony na nabycie własności potrzebnych do jego sporządzenia. W cywilizowanem społeczeństwie objawia się wynagrodzenie to w wyższej płacy robotnika.*) W tym stanie rzeczy należy wszystko to co robotnik zrobi, do robotnika a praca potrzebna do sporządzenia dwóch rzeczy jest jedynym, jak nadmieniono, regulatorem przewodniczącym zamianie tychże.

Skoro się zaś w społeczeństwie kapitały gromadzić poczną, zaczynają kapitaliści zatrudniać pilnych robotników, aby z pracy ich zysk ciągnąć. Odtąd musi cena być tak wysoką, aby przedsiębiorcy materjał i wynagrodzenie dane robotnikowi za pracę powróciła i zysk jakiś za przedsiębiorstwo przyniosła. Tak więc składa się cena z dwóch części: płacy robotnika i zysku przedsiębiorcy. Odtąd przestaje robotnik być wyłącznym właścicielem tego co zrobił — gdyż musi się tem z kapitalistą dzielić.

Odkąd ziemia przyjdzie w posiadanie pojedyńczych, przybywa do ceny wszystkich prawie przedmiotów trzecia część składowa: renta z gruntu (*Grundrente*). Robotnik bowiem nie może odtąd płodów ziemi sobie dowolnie zbierać, lecz musi właścicielowi ziemi za pozwolenie zbierania tego, czego do życia potrzebuje się opłacać, — co właśnie rentę gruntową stanowi.*) Jak się więc wszystkie ceny na te trzy części składowe podzielić dają, tak musi się cały roczny dochód narodu, który niczem innem nie jest, jak tylko samą ceną wszystkich towarów produkowanych w tymże przeciągu czasu, między pojedyńczych członków tegoż, jako wynagrodzenie za pracę, zysk z kapitału i renta gruntowa dać rozdzielić. Wynagrodzenie za pracę, zysk przedsiębiorcy i renta gruntowa są pierwotnem źródłem wszystkich dochodów i wartości zamiennej. (C. d. n.)

*) W znaczeniu ogólnem obejmuje wyrażenie „płaca robotnika — *Arbeitslohn*“ zarówno wynagrodzenie za pracę uczonego jako też i n p. płacę cieśli lub rębacza.

**) O rencie gruntowej istniały, podobnie jak jeszcze o pojęciu wartości najrozmaitsze zdania w ekonomji społecznej. Zachowując sobie krytykę zdań o obu tych pojęciach na później, dodaję tu tylko, że renta gruntowa nie istnieje wcale: to bowiem co pod nią powszechnie rozumiano, jest niczem innem jak dochodem z kapitału przedstawiającego się w gruncie, lub ogółem w ziemi.

Studja nad górnemi warstwami atmosfery.

(*Ze świeżych sprawozdań francuzkich.*)

I.

Paryż 20. lutego 1865.

Wiadomo jest, że wszystkie ciała podlegają wpływowi dwóch przeciwnych sił. Jedna z nich pociąga ciało w kierunku ku środkowi ziemi, i znaną jest w nauce pod nazwiskiem siły dośrodkowej, czyli siły przyciągania ziemi. W skutek tej to właśnie siły, każde ciało zostawione sobie, pada w kierunku pionowym ku ziemi. Druga siła przeciwna pierwszej, jest siła odśrodkowa Wypływa ona z ruchu wirowego kuli ziemskiej. Jeżli weźmiemy próżną drewnianą kulę, znaną powszechnie pod nazwiskiem b ą k a i wprawimy ją w szybki ruch obrotowy za pomocą przyrządzonej umyślnie na to drewnianej rączki, to kula kręcąc się wyda silny szum i świst, pochodzący z silnego i raptownego przerzynania powietrza. Otóż obrót tej kuli, może nam służyć za model ruchu obrotowego kuli ziemskiej; z tą różnicą, że kula drewniana kręci się w otaczającym ją spokojnym powietrzu, a w obracaniu się kuli ziemskiej przyjmuje udział i otaczające ją powietrze — czyli atmosfera. Pomieśćmy na powierzchni tej kuli jaki bądź przedmiot — naprzykład kawałek wosku, którego lepkość zastąpi nam miejsce siły dośrodkowej. Teraz puszczając bąka najprzód zwolna, następnie coraz prędzej i prędzej, zauważymy, że przylepiony wosk, który trzymał się do pewnej szybkości obrotu, nareszcie odrywa się i odlatuje. Przyczynę tego zjawiska nazywamy siłą odśrodkową. Przylepiając tenże wosk w rozmaitych miejscach na kulistej powierzchni, możemy dokładnie wystudjować prawa tej siły. Tak przy dwóch biegunach, czyli wierzchołkach osi obrotu, siła odśrodkowa jest 0 — w największym nawet pędzie przylepiony wosk nie odlatuje; przeciwnie na równiku siła ta jest największą.

Przekonać się można o tem, nalepiwszy naraz na kulistej przestrzeni kilkanaście woskowych gałek od równika aż do bieguna. Puszczając bąka z coraz większą prędkością, obaczymy że w miarę powiększania się stopniowego ruchu, gałki padają po jednej, zaczynając od równika i następują jedna po drugiej w porządku aż do przedostatniej, która spada przy *maximum* szybkości. Ostatnia zaś przylepiona na biegunie, zostaje na miejscu.

Te same prawa powtarzają się w ustroju kuli ziemskiej. Dowiedzionem jest za pomocą matematycznego wyliczenia, że jeżliby ziemia zaczęła się obracać $17\frac{1}{2}$ razy prędzej niż obecnie, to ludzie i wszystkie inne przedmioty na równiku, utrzymujące się na powierzchni ziemi w skutek własnego ciężaru, podniosłyby się w powietrze. Siła dośrodkowa zmniejsza się proporcjonalnie do kwadratów z odległości od środka ziemi; siła zaś odśrodkowa powiększa się w tym samym stosunku. Z tych dwóch przyczyn każde ciało, im wyżej jest położone na powierzchni ziemi, tym z mniejszą siłą ciągnionem jest do środka i tym większy wpływ wywiera nań siła odśrodkowa. Ponieważ siła odśrodkowa, jak powiedziałem wyżej, powiększa się w miarę zbliżania się ku równikowi, powietrze, które grubą swą warstwą otacza zewsząd kulę ziemską, na równiku oddalone jest daleko więcej od powierzchni, niż w innych miejscach kuli ziemskiej.

Wyliczenie matematyczne pokazuje, że granica, gdzie cząsteczki gazowe, w skutek przewagi siły odśrodkowej nad siłą dośrodkową, oddzieliłyby się od atmosferycznej warstwy, jest 36.000 kilometrów Dopóki nie było sposobów sprawdzenia wyżej pokazanych cyfrowych rezultatów, grubość atmosferycznej warstwy nie mogła być ściśle obliczona. Wynalezienie barometru było pierwszą furtą do sfery badań tego rodzaju, która w teraźniejszym czasie od początku 18go wieku, jest jedną z kwestyj najbardziej zajmujących badaczów natury. Żadne z doświadczeń uczynionych do dzisiejszego dnia nie dało nawet dziesiątej części tej grubości, którą dało

wyliczenie. Barometr może tylko służyć do 48 kilom. wysokości. Pan Liais, robiąc w pasie gorącym doświadczenie oparte na prawie polaryzacji atmosferycznej, podaje grubość atmosferycznej warstwy od 320 do 420 kilom. Doświadczenie znakomitego p. Quételet daje granicę nieco wyższą od barometrycznej. Ten ostatni naturalista podaje swe przypuszczenia co do składu atmosferycznej warstwy. Podług niego składa się ona z dwóch warstw: niższej, niestałej i wyższej stałej. Pierwsza bierze udział w obrotowym ruchu ziemi i z tego powodu zawiera w sobie wiele stałych i niestałych, perjodycznych i czasowych ciągów czyli wiatrów. Druga wyższa, składająca się z powietrza rzadszego niż pierwsza, jest niezależnie stałą. (Z powodu obrotowego ruchu ziemi, każdy przedmiot na jej powierzchni jest stały tylko stosunkowo.)

Od czasu więc odkrycia możności badania atmosferycznej warstwy, bądź za pomocą wznoszenia się w balonach, bądź za pomocą wstępowania na wysokie szczyty gór, uczony świat zwrócił baczność na studjowanie własności powietrza w górnej strefie. Pierwszy Montgolfier podniósł się w powietrze w wynalezionym przez siebie balonie. Lecz podniesienie się to nie miało naukowego celu; było ono raczej próbą nowego wynalazku. Pilatre de Rosier w 1783 r. podniósł się w balonie tak wysoko, gdzie nie było już żadnej żyjącej istoty (wkrótce przepłacił życiem to śmiałe przedsiewzięcie.) Tak opisuje on tę podróż: „Podniosłszy się na wysokość najwyższej góry (mieli z sobą w balonie barometr), pogrążeni zostaliśmy raptownie w chmurze tak gęstej, że zupełna ciemność ogarnęła nas; wkrótce wyszliśmy z niej i wpadliśmy w drugą chmurę śniegową, skąd trochę śniegu pozostało na galeryjce naszego balonu; dalej znowu za mgłą nie mogliśmy nic widzieć; tak że nie mając żadnego przedmiotu, któryby nam mógł służyć do porównania naszego ruchu, nie wiedzieliśmy zupełnie w jakim kierunku lecimy. Podług wskazań barometru podnosiliśmy się zwolna do góry. Podtrzymywaliśmy ogień aby wiedzieć do jakiej też wysokości *maximum* może się podnieść balon; jakoż po kilkunastu minutach ten zatrzymał się i krążył czas niejaki na jednej wysokości. Byliśmy wówczas wzniesieni na 11720 stóp nad powierzchnią morza; temperatura była 5° niżej 0. Ośm minut przebyliśmy na jednej wysokości, następnie zaczęliśmy się spuszczać. Po niejakim czasie obaczyliśmy pod sobą ziemię w całej jej wspaniałości: cały kraj oświecony promieniami słońca, usypany miastami i wsiami, zdał się nam jednym pysznym ogrodem, z licznemi zamkami i zameczkami."

W początku 19 wieku odbyte były liczne podróże po powietrzu. W jednej z nich balon doszedł do wysokośśi 7 kilometrów. Na każde 173 stopy termometr poniżał się o jeden stopień, tak że na ostatecznej wysokości, do której doleciał Gau Lussac, który robił to doświadczenie, z 27° pokazywanych na powierzchni ziemi, zostało tylko 9° 5; — (późniejsze doświadczenia nad poniżaniem się temperatury, pokazały, że prawo Gau Lussaca było mylne). W powietrzu nie było już obłoków, niebo było zupełnie czyste i w zenicie koloru ciemniejszego, niż gdzie indziej. Na trzy kilometry od ziemi, zwierzęta zabrane do balonu zaczęły cierpieć od rozrzedzonego powietrza. 0 metrów 500 wyżej puszczono z balonu czeczotkę. Ta poleciawszy odrazu, wróciła natychmiast i odpocząwszy na krawędzi galeryjki puściła się pionowo na dół. Gołąb puścił się szybko ku ziemi, przewracając się i robiąc silnie skrzydłami. Powietrze wzięte na tej wysokości, analizowane było później i dało taki sam skład jak zwyczajne. Drut przyczepiony u spodu balonu elektryzował się odjemnie i tym silniej, im wyżej balon był w przestrzeni.

Musimy tu jeszcze wspomnieć o próbie robionej przez p. Carlo astronoma w Neapolu. Ten chciał być koniecznie wyżej od swych poprzedników. Lecz nie udało się to śmiałe przedsiewzięcie: balon pękł i taka tylko jego część została, że mogła bezpiecznie donieść astronoma do ziemi. Skutkiem tego przypadku, czy może skutkiem innych jakich przyczyn, nie było tego rodzaju doświadczeń aż do 1850 roku. Wtedy pp. Bixio i Barrel podnieśli się do wzsokości 7000 metrów, z których 5000 było samych obłoków. W tych miejscach znajdywali czasami war-

stwy lodu ułożonego z drobnych igiełek; tam temperatura poniżyła się do 39°. Nie chciano wierzyć takiemu ogromnemu poniżeniu; dopiero doświadczenia p. Velsh, sławnego angielskiego fizyka potwierdziły to prawo, podawszy poniżenie termometru na 24° na wysokości znacznie niższej od poprzedzającej. Najznakomitszemi odkryciami w tym względzie są podróże p. Glesher, dyrektora obserwatorjum w Grinich. W podróżach tych prowadził zazwyczaj balon znakomity areonauta Coxvell, który do tego czasu odbył już był 150 podróży po powietrzu. W jednej z nich doszli do wysokości 10 kilometrów, nieznanej dotąd; lecz musieli się wracać z powodu nadpsucia się balonu. Na 5800$^{m.}$ p. Glesher zsiniały usta i ręce, na 6400$^{m.}$ serce mu biło gwałtownie i oddech był bardzo utrudniony. W następującej podróży p. Glesher stracił przytomność na wysokości 8850$^{m.}$ i ozdrowiał dopiero wtedy, kiedy wracając, balon doszedł do tej samej wysokości. P. Coxvell na wysokości 10.000$^{m.}$ stracił władzę w ręku, tak że musiał zaprzestać obserwacyj z instrumentami.

Doświadczenia termometralne podczas ostatnich tych wycieczek zrobione, dały możność ułożenia tablic pokazujących poniżenie się temperatury na różnych wysokościach. I tak temperatura na wysokości 76$^{m.}$ od ziemi poniża się o jeden stopień. Wyżej dla tego samego poniżenia potrzeba:

Na wysokości	1000 metrów . . .	160 metrów,
— —	2000$^{m.}$ . . .	196$^{m.}$ —
— —	3000$^{m.}$ . . .	210$^{m.}$ —
— —	4000$^{m.}$ . . .	240$^{m.}$ —
— —	5000$^{m.}$ . . .	290$^{m.}$ —

Liczby te są dane dla zupełnej pogody; najmniejsza zmiana w powietrzu, zmienia je natychmiast. W doświadczeniach p. Glesher zmiany temperatury były nie regularne. Dnia 17. lipca 1862 roku, zmienianie się temperatury do wysokości obłoków potwierdziły podane wyżej liczby. Za obłokami to raptownie się poniżała to znowu się zniżała a na przestrzeni od 3go do 4go kilometru była stałą 3°. Wyżej nastąpiło poniżenie się na 9°; później znowu był pas cieplejszego powietrza. Zatem z doświadczenia tego nic nie można było wywnioskować co do stanu teperatury w sferze nadobłokowej.

Ciągi w pasie wyższym są daleko silniejsze niż na powierzchni. Tak 27 lipca 1863 r. balon przebiegał w godzinę 28 kilom., gdy na ziemi wiatr miał siłę tylko 3 kilometrów. W tak szybkim ruchu trudno było robić obserwacje; tak naprzykład nie podobna było odkryć ilości pary wodnej, zawartej w powietrzu na różnych wysokościach; tak że podane liczby tych zmian nie potwierdziły się w żadnej z późniejszych wycieczek.

To, co powiedzieliśmy dotąd, daje nam już niejakie wyobrażenie o pasie nadpowietrznym. Lepiej jeszcze poznamy go inną drogą. Jednak tu trzeba powiedzieć, że doświadczenia balonowe mają przewagę nad innemi. Ten sposób przerzynania warstw powietrza, bez żadnej styczności z ziemią czyni doświadczenia niezależnemi od wpływów tej ostatniej. Teraz latanie balonem jest rzeczą zupełnie zwyczajną. P. Glesher w częstych swych wyprawach zabiera z sobą 14-letniego swego syna. Przy wdrapywaniu się na szczyty gór, gdzie niewygoda pochodząca z rozrzedzonego powietrza, połączona jest z koniecznością naprężania muskułów, naturalista znajduje się w tak ciężkich warunkach, że doświadczenia jego nie mogą mieć pożądanej ścisłości. (C. d. n.) Z. S.

Pamiętniki z ośmnastego wieku. Tom. VI. Wojna w Polsce 1770 i 1771 r. z pamiętników generała Dumourieza. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego. 1865. 8vo. str. 87.

Znany z skrzętnej gorliwości w wydawaniu dzieł ważnych i prawdziwie użytecznych, nakładca polski, J. K. Żupański, księgarz w Poznaniu, rozpoczął w r. 1860 wydawnictwo pamiętników ośmnastego wieku. Publikacją tą wyświadcza

p. Żupański rzetelną przysługę literaturze historycznej polskiej. Brak źródłowych materjałów do ostatniej epoki dziejów naszych dawał się i daje jeszcze zawsze czuć nader dotkliwie wszystkim, pracującym na polu dziejów narodowych. Mnóstwo cennych źródeł spoczywa niewydanych w pyle bibliotek i archiwów publicznych i prywatnych. Wiele zapewnie upłynie jeszcze czasu nim one wszystkie będą odgrzebane i drukiem ogłoszone. Dotąd wydawano tylko urywkowo ten lub ów pamiętnik, jeden lub kilka dokumentów, już to w osobnej książce, już też w którem pismie zbiorowem lub czasowem. P. Żupański pierwszy — o ile nam wiadomo — powziął chwalebny zamiar ułożenia rozleglejszego zbioru pamiętników z XVIII w. i nie zakreśliwszy z góry granic swej publikacji, obdarza nas już szóstym tomem. W zbiorze tym znajdujemy kilka pamiętników p o r a z p i e r w s z y do druku podanych, kilka przełożonych z obcego języka, przez co stały się przystępniejszymi dla szerszego koła publiczności polskiej, inne nareszcie są przedrukami z edycyj dawniejszych wyszłych już dziś z obiegu księgarskiego Nie możemy zastanawiać się tu bliżej nad całą tą publikacją, tem bardziej że pierwsze jej tomy powinny już były znaleźć ocenienie w innych pismach literackich i naukowych. Dla wiadomości naszych czytelników podajemy więc tylko treść ich, a dopiero przy szóstym, t. j ostatnim, który w tej chwili opuścił prasę, zatrzymamy się przydłużej.

Tom I: zawiera: P a m i ę t n i k i o r e w o l u c j i p o l s k i e j z r. 1794 jenerała d e P i s t o r, tłom. przez B. P. Chotomskiego; D z i e ń 17 i 18 k w i e t n i a 1794 w W a r s z a w i e przez naocznego świadka opowiedziany, w zapisach K a m i n i e c k i e g o znaleziony; P a m i ę t n i k J. K i l i ń s k i e g o, szewca a razem półkownika 20 regimentu.

Tom II: P a m i ę t n i k J. Z a j ą c z k a, albo historję rewolucji r. 1794, przekładu H. K o ł ł ą t a j a; P a m i ę t n i k F. L i c h o c k i e g o, prezydenta krakowskiego z r, 1794, poraz pierwszy wydany i opatrzony dokumentami i opowiadaniem mało znanych szczegółów do tej epoki z mapkmi objaśniającemi.

Tom III: P a m i ę t n i k i j e n e r a ł a H. D ą b r o w s k i e g o z francuzkiego, niedrukowanego rękopisu poraz pierwszy wydany.

Tom IV: J e n e r a ł a J ó z e f a S u ł k o w s k i e g o życie i pamiętniki historyczne, polityczne etc, etc, przełożone z francuzkiego przez L. M i ł k o w s k i e g o.

Tom V: D r u g i r o z b i ó r P o l s k i z pamiętników S i e v e r s a.

Tom VI nareszcie, wymieniony powyżej opis wojny z l. 1770 i 1771 *Dumouriez'a.*

Pamiętnik *Dumouriez'a* jest cennym materjałem do dziejów dwu lat k o n f e d e r a c j i B a r s k i e j. We wstępie niejako, wspomniawszy pobieżnie o swoich osobistych stosunkach, kreśli autor w krótkich ale trafnych i dosadnych zarysach ówczesny stan Francji, intrygi na dworze Ludwika XV, stanowisko i charakter ks. ministra *Choiseul'a* i machinacje przeciwnego mu stronnictwa, którego głównym motorem była znana miłośnica królewska hr. *Du Barry.* W interesie swym własnym zajęła się Francja sprawą konfederacji Barskiej, owego powstania narodowego przeciw gwałtom moskiewskim. Gabinet francuzki, chcąc upokorzyć dumę wielkiej Brytanji, wydrzeć jej wyłączne panowanie na morzu i obalić potęgę Moskwy, „widział w konfederacji polskiej sposób roznieceni pożaru na Północy i zaniepokojenia Rosji; w razie gdyby rzeczy w Polsce nabrały mocy, dywersja ta mogłaby miarkować przewidywaną wyższość Rosjan nad Turkami; gdyby król pruski chciał się wmięszać do tego, ks. *Choiseul* spodziewał się nakłonić dwór wiedeński do wzięcia Polaków w obronę; mógł do tego pociągnąć i dwór saski, perspektywą odzyskania tego tronu.“ W tym zamiarze postanowił ks. *Choiseul* wyprawić *Dumouriez'a* do Polski, dając mu nieograniczone prawie pełnomocnictwo użycia wszelkich środków, jakie za potrzebne będzie uważał. Przygotowawszy się nader sumiennie do tej misji kilkomiesięcznem studjowaniem stosunków i stanu spraw Polski ówczesnej, ułożywszy sobie plan śmiały i nader rozległy rozwinięcia na wielką skalę owej walki narodowej, wyruszył *Dumouriez* w podróż. Dnia 2 sierpnia 1771 stanął w Monachjum, gdzie się widział z bratem elektora saskiego ks. kurlandzkim Karolem i zawarł

z nim nader korzystną dla konfederacji umowę. Na Wiedeń przybył wreszcie z końcem sierpnia do Preszowa, miejsca pobytu naczelników wojskowych i cywilnych, regimentarzów i marszałków, konfederacji.

Tu dopiero przystępuje autor do rzeczy właściwej. Skreśla najprzód stan konfederacji w chwili swego przybycia do Preszowa, dalej opisuje cały tok wojny aż do powrotu swego do ojczyzny. W opisie tym jest kilka ciekawych i nieznanych dotąd zkądinąd szczegółów, wiele wypadków przedstawia się w innem zupełnie świetle. Zajmującem będzie dla każdego czytelnika porównanie opisu fatalnej klęski pod Lanckoroną i postępowania K. Puławskiego przez *Dumouriez'a* (str. 62) z tem co o tejże sprawie piszą: *Murray* (Materjały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III. Lwów 1857 T. I. str. 239), *Ferrand (Hist. des trois démembremens de la Pologne. Paris 1820.* T. I. str. 301) i autor Wiadomości o konfederacji Barskiej (Poznań. Żupański 1843 str. 208). Najdokładniej skreślone są działania konfederatów na podgórzu karpackiem i w okolicach Krakowa, którym *Dumouriez* sam przewodniczył i był najczęściej naocznym i czynnym świadkiem wszystkich ważniejszych potrzeb. Ogółowo tylko, kilkoma słowami podaje nader niedostateczne wiadomości o ruchach w okolicach odleglejszych, jak na Litwie, Rusi, a nawet i w Wielkopolsce. Zatoż znowu odkrywa całą sieć intryg dyplomatycznych, wywiązujących się z obalenia *Choiseul'a* i z przewrotności następcy jego w ministerstwie spraw zagranicznych ks. *d' Aiguillon*. Nie broni bynajmniej Francji, jakkolwiek sam jest Francuzem, owszem potępia jej podstępną co do Polski politykę, wypowiadając przekonanie „że prawdziwa polityka powinna być szczerą i cnotliwą i że źle ten służy własnej sprawie, kto używa przewrotności i fałszu w stosunkach z obcymi narodami." Ale też z drugiej strony nie szczędzi gorżkich prawd samejże konfederacji, szczególniej jej naczelnikom, którym widzi się zmuszonym powiedzieć, „że nie warci są ani pieniędzy, ani interesowania się Francji."

W zakończeniu nareszcie przebiega pokrótce dalsze dzieje konfederacji pod następcą swoim *Viomesnil* aż do jej upadku, robi kilka uwag nad Polską i jej konstytucją, a zamyka rzecz całą wzmianką o podróży i o swoim powrocie do Paryża, oraz opisaniem audjencji u ks. *d' Aiguillon* i u ministra wojny *Monteynard*.

Dumouriez zebrał był wszystkie dokumenty, odnoszące się do czynności jego w konfederacji i wysłał je na ręce krewnego swego Châteauneuf do Francji, gdzie „w bezpiecznem miejscu" złożone zostały. Spisał był także dokładniejsze pamiętniki o Polsce i notaty o Węgrach, co wszystko w czasie rewolucji francuzkiej zaginęło. Ogłoszony obecnie pamiętnik, ułożył dopiero w dwadzieścia i trzy lat później (w r. 1794), spuszczając się jedynie na pamięć swoją, bez karty nawet i bez żadnych pomocniczych notatek. Ztąd to zapewnie wynika pewna niedokładność, pewien brak ścisłości w opowiadaniu *Dumouriez'a*, czego każdy czytający z łatwością dopatrzy; nie znajdujemy tu tej obfitości drobiazgowych szczegółów, tej precyzji dat, jakie zwyczajnie cechują pamiętniki. Pomimo to jednak nie może historyk z lekceważeniem poglądać na zawarty w nim materjał dziejowy. Prócz bowiem kilku nowych szczegółów (do tych należy n. p. zanotowana na str. 17 ważna umowa z ks. Karolem, o której tylko *Rulhiere* w T. IV str. 112 swojej *histoire de l'anarchie de Pologne* nadmienił, a którą *Ferrand* milczeniem w wątpliwość podał), ważnym jest pamiętnik *Dumouriez'a* jeszcze z tego względu, że może wybornie posłużyć do porównania z innemi źródłami z tej epoki, do sprawdzenia niektórych faktów i do sprostowania niejednego mniejszej lub większej wagi błędu historycznego.

Wszelako nie to jedynie stanowi jego wartość. Ważniejszem nierównie, niż wzbogacenie historji tym lub owym szczególikiem, jest zapatrywanie się autora na stan całej Polski ówczesnej. My sami nie mogąc wyrzec się miłości własnej, nie możemy ocenić wad naszej przeszłości z taką bezstronnością, z jaką to uczynić może cudzoziemiec. Należałoby do tego tyle zaparcia się samego siebie, na ile wątpimy czy w dzisiejszem położeniu naszem, który z Polaków zdobyć się potrafi, a gdyby się nawet i zdobył jesteśmy pewni, że względy fałszywie pojmowanego

patrjotyzmu każą mu przemilczeć wszystko złe, lub starać się je wytłomaczyć i uniewinnić, a przeciwnie podnosić tylko dobre strony, owszem przesadzać nawet w ich malowaniu. Nasze nowoczesne powieściopisarstwo niby historyczne, wysnuwające swój początek z pamiętników Soplicy H Rzewuskiego, i gawędziarska poezja, której najwalniejszym reprezentantem W. Pol, posuwa się jeszcze dalej, starając się zidealizować i w poetyczne przybrać barwy: burdy szlacheckie, głupotę, nierząd, ba nawet opilstwo i obżarstwo. Patrząc przez różowe kolory egoizmu i fałszywego patrjotyzmu szukamy przyczyn naszego upadku to w zaborczości Moskwy, to w dwuznacznej polityce Austrji, to w przeniewierstwie Prus to w nieszczerości Francji, zamiast uderzyć się w piersi i powiedzieć: „nasza wina, nie byłby wilk wpadł do obory, gdybyśmy mu byli wrót nie otworzyli.“ Pisma cudzoziemców o nas dopomagają nam i ułatwiają dojście do objektywnego zapatrywania się na przeszłość naszą, do poznania naszych wad historycznych, które to poznanie doprowadzi nas wkońcu do otrząśnienia się z tychże, poczem dopiero spodziewać się nam lepszej przyszłości.

Dumouriez rzuca nam w oczy niejedną gorżką, ale szczerą prawdę. Upadkowi konfederacji nie nieszczerość Francji była winną, nie dwuznaczność Austrji ją podkopała, lecz brak taktu, brak wszelkiego planu, nieporządek, rozdrobienie i marnowanie sił, zwady pomiędzy dowódzcami, z których każdy chciał być naczelnym, a słuchać żaden nie myślał, nareszcie niedbalswo i lekkomyślność marszałków, którzy siedząc w Preszowie, a później w Bielsku otrzymywane z Francji pieniądze tracili na bankiety, przegrywali sumy w faraona, zaciągali niepomiarkowane długi i wystawiali się na pośmiewisko gabinetów zagranicznych, podczas gdy dobra ich pustoszył wróg, gdy mnóstwo ofiar jęczało na Sybirze, a walczący o głodzie i chłodzie żołnierz całymi miesiącami nie otrzymywał ani żołdu, ani odzieży ani amunicji (ob. *Dumouriez* str. 22, *Murray* str. 222). Prawdę powiedziawszy w czasach konfederacji Barskiej nie Francja zawiodła Polskę, lecz przeciwnie. Wysłany jeszcze przed *Dumouriez'em* do konfederacji jenerał francuski *Traulés*, był tak rozczarowanym, że napisał do ministra *Choiseul'a* w tonie szyderczym: „Przybyłem w nadziei kupienia w Polsce pięknych koni, a znalazłem same tylko szkapy“ (ob *Murray* str. 223). Nie mniejszego rozczarowania doznał *Dumouriez.* Wkrótce przekonał się, że zamiary jego są nie do zrealizowania, że spodziewanej dywersji na tyłach armji moskiewskiej będącej nad Prutem, nie sprawi rozerwanemi, a niedającemi się skoncentrować siłami konfederatów, którzy nie ulegną nigdy rozkazom jednego wodza, ani nie zechcą działać według jakiegoś obmyślanego planu. Nic naturalniejszego jak, że Francja, przerachowawszy się w swoich nadziejach, opuściła konfederację i rada była w końcu pozbyć się wszelkich względem niej zobowiązań. Nie maskujmy własnego niedołęztwa cudzą przewrotnością. Biorąc rzeczy tylko zimnym rozumem widzi też *Dumouriez* niejedno zupełnie inaczej, niż my widzieć przywykliśmy. Tyle wysławianego u nas księcia „Panie kochanku“ nazywa on bez ogródki „głupiem bydlęciem,“ a o kostytucji naszej tak pisze: „Polacy mają najżywsze pragnienie wolności. Majątek swój i i życie bez wahania tej namiętności poświęcają, ale ich układ społeczny i konstytucja stoją w poprzek usiłowaniom i przeciw nim samym je odwracają. Agitacja ich był to uragan, który rozdymał ognie w sąsiednich warsztatach, gdzie kajdany na nich się kuły. Konstytucja polska bowiem jest czysto arystokratyczną, a bez ludu, nie można bowiem dawać tego nazwiska 8 czy 9 miljonom poddanych, utwierdzonych do ziemi, którzy nie mają żadnego bytu politycznego i których niewola przedaje się, kupuje, zamienia, zapisuje i ulega wszystkim zmianom majątku jak bydło domowe. Ciało społeczne w Polsce to potwór z główi żołądków, a bez rąk i bez nóg.“

Słusznie może kto zarzucić, że sądy cudzoziemców o nas bywają często za surowe, wpadają owszem w przeciwną ostateczność. Wszelako nam skłonnym z natury do łudzenia się, nawet gorsze wystawianie stanu rzeczy, niż był lub jest istotny, nigdy tyle szkodzić nie może, ile pstrzenie świecidełkami poezji i apoteozo-

wanie tego, co było lub jest niedołężne, a często nawet zgubne. Nie chcemy utrzymywać, że *Dumouriez* zawsze bez uprzedzenia zapatruje się na osoby i wypadki, o których pisze. Charakter jego i przeszłość nie upoważniają nas do tego. Karol Frańciszek *Dumouriez* albo *Dumourier* urodził się w Cambrai. W r. 1739 wszedł do konnego regimentu *D' Ecars* i w nim odznaczył się podczas wojny w l. 1759 i 1760. Kapitanem został 1761. Nienawidząc spokojności poszedł do Włoch, gdzie raz Paolemu przeciw Genueńczykom, potem Genueńczykom przeciw Paolemu ofiarował służbę. Roku 1768 udał się do Hiszpanji i Portugalji. W r. 1769 odprawił kampanję w Korsyce. Był ambitny, chciał wszędzie wszystkiem rządzić, gwałtowny i niecierpiący zdań przeciwnych swoim zasadom. Pomimo tych ujemnych stron charakteru przyznają mu wszyscy niepospolite militarne i polityczne zdolności. W konfederacji zostawił nienajlepszą po sobie pamięć, czemu głównie zarozumiałość jego była winna, a niemało zapewnie i to, że pod Lanckoroną płazował pałaszem uciekających bez najmniejszego względu na ich szlacheckie grzbiety. Nikt go jednak nie oskarza o żadną nikczemność, owszem tak ze zdań o nim obcych jak i z jego własnych pamiętników widać szczerą życzliwość dla narodu polskiego i poczciwą chęć poprowadzenia jak najlepiej jego sprawy. Może być w pewnych względach uprzedzonym, ale o złą wiarę posądzać go nie można.

Ł. Tatomir.

ROZMAITOŚCI.

— **Tom VI. »Biblioteki Ossolińskich«** pisma wydawanego przez Dyrekcję Zakładu, właśnie opuścił prasę. Obejmuje 27 arkuszy druku a zawiera przedmioty następujące:

Jana Klemensa Branickiego »O poprawie rzeczypospolitej« memorjał podany rządowi francuzkiemu 1762 r, ze względem na inne reformy owoczesne; przez Ludwika Nabielaka.

Uwagi szlachcica polskiego nad usposobieniem sąsiednich mocarstw względem naszych sejmów; pismo Stanisława Konarskiego podane Paulmiemu dnia 4 stycznia 1764 roku; przez tegoż.

Kasper Cieciszewski, arcybiskup mohilewski, metropolita całej Rosji; przez K. S. Bodzantowicza.

Wacława Potockiego poezje niedrukowane.

Starożytni; poezja nowogrecka przez L. S.

Olgierdowicze przez Kazimierza Stadnickiego.

O samorodztwie przez Dra Wojciecha Urbańskiego.

Magistri Vincentii, qui Kadłubek vocari solet, de origine et rebus gestis Polonorum libri quatuor; edidit Adolphus Mułkowski. Cracoviae typis universitatis Jagellonicae 1864. Ocenił August Bielowski.

List otwarty Antoniego Zygmunta Helcla do Augusta Bielowskiego o najdawniejszych znanych nadaniach klasztoru Benedyktynów w Mogilnie.

Sprawozdanie z czynności zakładu narodowego imienia Ossolińskich, czytane na posiedzeniu publicznem dnia 12 października 1864 roku przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego kuratora-zastępcę.

Przemówienie Augusta Bielowskiego dyrektora - zastępcy na temże posiedzeniu

Spis darów uczynionych dla Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, oraz i dawców tychże w ciągu lat dwóch 1857 i 1858.

— Tom VII. Biblioteki Ossolińskich idzie pod prasę, i okaże się w handlu w początku maja t r.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **F. B. Twardowski.**
Za Redakcję: **L. Tatomir. E. J. Janicki.**

Z drukarni Zakładu nar. im. Ossolińskich. *Pod bezpośrednim zarządem Aleksandra Vogla.*